

Ewa Siatkowska

Profesor Zdzisław Stieber jako dydaktyk i opiekun naukowy (garść osobistych wspomnień i refleksji)

W życiu Profesora Stieberta bardzo ważne miejsce zajmowała dydaktyka uniwersytecka.

Zanim w 1951 roku zaczął pracować na Uniwersytecie Warszawskim miał już za sobą duże doświadczenie dydaktyczne, o którym w niniejszej publikacji możemy przeczytać też w innym miejscu. Po wojnie, w 1945 roku, jak wielu mieszkańców Lwowa, repatriował się. Najpierw w Łodzi zorganizował katedrę polonistyki, zostając jej kierownikiem. Wykształcił tam grono przodujących polonistów i sławistów, którzy z kolei odegrali wielką rolę w tworzeniu fundamentów językoznawstwa polskiego. Należą do nich m.in. prof. Karol Dejna, prof. Witold Śmiech, prof. Hanna Popowska-Taborska, prof. Zuzanna Topolińska – dziś chyba najwybitniejsza polska sławistka działająca zagranicą, prof. Kwiryna Handke, prof. Ewa Rzetelewska-Feleszko, prof. Jadwiga Zieniukowa i in. Przenosząc się do Warszawy pociągnął za sobą swoje były wychowanki, które pod jego kierunkiem rozpoczęły działalność naukową na tym gruncie. Natomiast część dawnych studentów Stieberta (prof. Dejna, Śmiech) pozostała w Łodzi, tam kontynuując jego tradycję. Można więc orzec, że powołał do życia dwa polskie ośrodki sławistyczne. Niektórzy z uczniów prof. Stieberta byli zatrudnieni na innych uczelniach polskich. Stanowi to najlepsze świadectwo wielkości prof. Stieberta jako dydaktyka.

Początkowo na Uniwersytet Warszawski dojeżdżał z Łodzi. Prowadził wykład i ćwiczenia z gramatyki historycznej języka czeskiego.

Pod koniec roku akademickiego 1951/52 prof. Stieber objął Katedrę Filologii Słowiańskiej UW, którą kierował do roku 1966. Przyczynił się do znacznego rozwoju tej placówki. Po oddzieleniu języków wschodniosłowiańskich i utworzeniu odrębnej katedry rusycystyki na sławistyce pozostała faktycznie tylko bohemistyka. W 1952 r. teoretycznie dwie osoby studiowały kierunek bułgarystyczny i ktoś tam serbo-chorwatystykę, ale nie było profesjonalnych kadr naukowych z tego zakresu. Wszystkie funkcje dydaktyczne pełnił starszy, prof. Stanisław Słowski. Lektorat języka bułgarskiego pro-

wadził jego rówieśnik, mgr Stefan Łaszewski. Uprawiał on mnemotechniczne metody nauczania, każąc studentom uczyć się na pamięć obszernych fragmentów prozy. Jeszcze dziś dźwięczą mi w uszach rozbrzmiewające na korytarzu recytacje uczestników zajęć z bułgarskiego. Lektorat serbsko-chorwacki lepiej prowadziła mgr Halina Olszewska, borykając się jednak z brakiem pomocy naukowych. Lektoraty te mogli zaliczać też studenci bohemistyki lub rusycystyki.

Profesor Stieber przede wszystkim powiększył grono pracowników, sprowadzając z zagranicy lektorów poszczególnych języków słowiańskich oraz korzystając z pomocy naukowców zatrudnionych w innych placówkach. Trochę mu się rozwój kadry dydaktycznej wymykał z rąk, bo zaczęły się pojawiać sławistyczne dzieci. W 1953 roku w tym samym czasie urodził się syn Hanki Orzechowskiej i mój syn, w roku 1954 córka Marysi Jeżowej, w roku 1955 mnie córka, a Henryce Czajce syn, w roku 1958 mnie drugi syn. W latach 60. przyszły na świat moja druga córka i córka Henryki Czajki. Profesor Stieber obawiał się, że ten gwałtowny przyrost demograficzny obniży poziom naukowy Katedry, ale tak się nie stało.

Wszystkie w terminie zrobiłyśmy doktoraty, nie korzystając z dłuższych urlopów macierzyńskich poza ustawowymi trzema miesiącami.

Od razu wraz z pojawieniem się Profesora Stieberta na sławistycę warszawskiej zapanował tu nowy duch. Widać było jego wielką znajomość poruszanej tematyki, a jednocześnie narodził się inny styl nauczania. Na wykładach Profesor Stieber nie wytwarzał dystansu między sobą i słuchaczami. On nie wykladał, on do nas po prostu mówił. Używał języka potocznego. Nigdy nie posługiwał się notatkami, a mimo to jego wykład miał zawsze przejrzystą konstrukcję i precyzyjnie mieścił się w wyznaczonym czasie.

Był zawsze swobodny, odprężony, co udzielało się słuchaczom. Nie kokietował nas nigdy, jak inni, opowiadaniem dowcipów, które nie bywały śmieszne, ale – z grzeczności – wypadało się z nich śmiać. Atmosferę wyluzowania osiągał za pomocą niewymuszonego stylu ubierania się oraz pewnych gestów, np. w czasie wykładu podkręcał jedną ze swoich krzaczastych brwi, jak dawniej podkręcało się wąsa. Poza tym miał umiejętność ruszania brwiami i uszami. Tu nie mogę się oprzeć zrobieniu dygresji, skacząc o kilka lat do przodu, do drugiej połowy lat 50. Tę umiejętność wykorzystywał w kontaktach z dziećmi, dodatkowo jeszcze wydymając policzki. Nazywało się to „robieniem zajączka”. Z tego powodu nasze dzieci go uwielbiały. Starszy syn myślał, że Profesor Stieber jest jedynym profesorem na świecie. Kiedyś pokazaliśmy mu w gazecie fotografię Zdzisława Stieberta i Zenona Klemensiewicza. Poznał Profesora i wskazując na niego paluszkami wykrzyknął: „O, pan pprofesol!”. „Ten drugi też jest profesorem”, pouczyliśmy, ale syn zaprotestował: „Nie, to tylko pan”.

Druga dygresja. Profesor Stieber znał nasze dzieci, bo odwiedzał nas w Milanówku. A odwiedzał dlatego, że przyjeżdżał do swojej ciotki, pani Zofii Sosnowskiej, która była naszą sąsiadką, bardzo wytworną starszą panią. Utrzymywaliśmy z nią sąsiedzkie stosunki, zawsze się witając z rana przez płot. Opowiadała o dzieciństwie Profesora Stieberta: „Ten Zdzis to był taki śliczny cherubinek ze złotymi loczkami. Tak wytrzeszczał te swoje wielkie ślipia. Urodził się po dwóch braciach, matka chciała mieć dziewczynkę, więc długo ubierała go w sukienki”.

Odejdźmy jednak od tych rodzinnych dygresji, a wróćmy na Uniwersytet Warszawski, do zajęć dydaktycznych Profesora Stieberta. Na zajęciach nie robił studentom „zajęczka”, ale nigdy nie starał się okazywać swojej wyższości. Zwykle każdy wykład zaczynał od prostowania różnych pomyłek i nieścisłości popełnionych na poprzednim wykładzie, nie bojąc się, że podważa autorytet naukowy. On właśnie przez to budował swój autorytet, wykazując rzetelność i dążenie do ścisłości. Traktował nas jak dorosłych ludzi, po partnersku.

Cenił nasze poglądy. Potrafił w artykule naukowym powołać się na uwagę studenta, naturalnie, jeśli była ona sensowna.

Kiedy w roku 1953 zbliżałam się do magisterium, zaproponował mi temat z zakresu fonologii czeskiej, bo sam wtedy wydał książkę o polskiej fonologii. Jakoś mi ten temat nie odpowiadał. Wymyśliłam inny: zmiany, które zaszły od XIV do XX wieku w słownictwie użytym w średniowiecznym apokryfie „Legenda o Judaszu”. Profesor od razu wyraził zgodę. To samo było z pracą doktorską z zakresu podobnej problematyki, tylko operującą innym, szerszym materiałem. Profesor nie był z niej w pełni zadowolony. Zakwestionował (dziś widzę, że słusznie) moje rozumienie tzw. archaizmów historycznych, ale nie kazał mi tego poprawiać, tylko zgodził się na pozostawienie mojego ujęcia. Mówił: „pozwólmy ludziom popełniać błędy”!

Charakterystyczna była metoda poprawiania pisemnych prac studenckich przez Profesora Witolda Doroszewskiego (drugiego wielkiego polonisty i sławisty warszawskiego z tamtych lat) i Profesora Stieberta. Pierwszy poprawiał je drobniuszko, drugi umieszczając falistą linię na marginesie fragmentu, do którego miał zastrzeżenia, a czasem nawet tylko zaznaczał ten fragment paznokciem i trzeba było się domyśleć, o co mu tu chodzi. Ale chyba właśnie dzięki tej wielkiej tolerancji i wyrabianiu samodzielnego myślenia wykształcił wielu wybitnych językoznawców.

Nie można zarzucić Profesorowi Stieberowi, że nie dbał o rozwój naukowy swoich podopiecznych, pozostawiając ich samych sobie. Mnie prosił, żeby mu pokazywać wszystko, cokolwiek napiszę, nawet poza pracami przewidzianymi programem studiów. Razem ze swoją szwagierką – Profesor Antoniną Obrębską-Jabłońską, również sławistką, z którą często współpra-



48. Promocja doktorska Ewy Siatkowskiej; od prawej: Zdzisław Stieber (czyta), Janina Kulczycka-Saloni, Eugeniusz Sawrymowicz, 1965 r.

cował, powierzyli mi prowadzenie rubryki językowej w dość poczytnym wówczas piśmie popularnonaukowym „Problemy”. Profesor zawsze czytał te moje uwagi o poprawności językowej. Praca ta bardzo rozszerzyła moje horyzonty myślowe. Byłam już wtedy po studiach na etacie asystentki, pisałam doktorat. Profesor Stieber razem z profesorem Andrzejem Sieczkowskim pilotowali moje zajęcia dydaktyczne.

Muszę również wyrazić Profesorowi Stieberowi dużą wdzięczność za jedno: nie krytykował mojego poczwórnego macierzyństwa, tak jak zdarzało się to innym profesorom, którzy nawet posuwali się do zwalniania wielodzietnych matek. Profesor Stieber odwrotnie, starał się mnie z tego powodu otaczać opieką. Kiedy w pewnym okresie przyszedł do niego załamana, bo wydawało mi się, że już nie dam rady (musiałam dojeżdżać z Milanówka, dzieci w przedszkolu stale chorowały) i poprosiłam o etat tzw. adiunkta ustabilizowanego, który nie ma obowiązku rozwoju naukowego, powiedział mi: „pani Ewo, niech pani nie podejmuje pochopnych decyzji” i udzielił mi rocznego płatnego urlopu na napisanie pracy doktorskiej. Potem mnie kontrolował, czy naprawdę urlop ten wykorzystuję naukowo i musiałam składać sprawozdania z postępu pracy. Siedziałam wieczorami, kiedy dzieci już poszły spać, ale i tak było źle, bo odpadło mi przygotowywanie i prowadzenie zajęć. Gdyby nie życzliwość Profesora Stieberta, przypuszczam, że nie utrzymałabym się na uniwersytecie.

Profesor Stieber charakteryzował się łatwością w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, a chyba szczególnie lubił dzieci, co wynikało z poprzednich opisów. Pamiętam, jak kiedyś zabrałam ze sobą na przeprowadzany przeze mnie egzamin dwuletnią córeczkę, bo nie miałam jej z kim zostawić. W pewnym momencie do pokoju, w którym egzamin się odbywał, wszedł Profesor Stieber i zobaczył malucha. Bałam się, że mnie skarci z powodu pogwałcenia powagi naszej uczelni, a on tylko powiedział: „No, no, to dziś egzamin komisyjny”.

Czasem jednak Profesora denerwowałam. Któregoś dnia udzielałam przez telefon instrukcji swojej gosposi, kiedy do gabinetu wpadł Profesor Stieber, najpewniej chcąc pilnie skorzystać z telefonu. Zdrętwiałam widząc jego groźne spojrzenie, a on wykrzyknął: „Telefon służbowy nie jest do prowadzenia rozmów o zupkach”. Pośpiesznie odłożyłam słuchawkę i wyszłam, a Profesor po chwili mnie dogonił i przeprosił. Mało szefów by się chyba na to zdobyło.

Profesor Stieber wysyłał swoich asystentów zagranicę dla podnoszenia kwalifikacji naukowych i językowych. Poza tym zajmował się osobami niedocenianymi przez środowisko, a jego zdaniem wartościowymi. Przykładem jest Docent Wanda Budziszewska, która zwolniona z Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu, skazana była na pracę w prowincjonalnej szkole, mimo że miała olbrzymią pasję naukową i dużą wiedzę. Takich osób było więcej. Nigdy również Profesor Stieber nie lekcewał studentów słabych ze względów obiektywnych, np. z powodu kalectwa. Stosował wobec nich taryfę ulgową.

Wydaje mi się, że dobry dydaktyk uniwersytecki, zwłaszcza profesor, powinien przede wszystkim reprezentować indywidualność naukową, wysoki poziom moralny i empatię, a poza tym mieć coś, czego nie można się nauczyć – charyzmę. I te wszystkie cechy miał właśnie Profesor Zdzisław Stieber.